

# BAŁAMUT.

## WEDRÓWKA DO RYGI.

(Dokończenie.)

Rapularzyk ostatni.

Połock, łaskawy panie, miasto nie lada! Tylko, że nie ma na Dźwinie mostu! Drugim więc sposobem (o pierwszym patrz w rapularzyku 1szym) sporządzić go można z wydętych pęcherzów. Materiał obsity i niekosztowny. Prócz Dźwiny (jak w Wilnie Wilenka, lub Kamionka w Żytomierzu), płynie rzeczka *Połota*, do pierwszej kręto wpadająca. Czy miasto od tej rzeki nazwane, czy przeciwnie? nie wiem. Chąc bałamucie, zdołałbym wsiąść na kronikarzy *gochich* (drukowanych), i wycisnąć z nich niezłomne dowody na poparcie jednego lub drugiego mniemania. Ale na co mi to się zdało!! Wspomnę tylko nawiasem, że w r. 1802 mieszkał tu przez Jezuitów odziewany popolsku Turek. — Ale, do rzeczy! mościpanie, do rzeczy!! krzyczcie zapewna całym chórem, kochani moi czytelnicy, których prawdziwie niewiem dla czego lubię. Wracam tedy do celu, i wybieram się stąd do Rygi. Niedarmo powiedziałem: *homo proponit, fortuna disponit*. Zachorowałem na krwawnicę (u *Siennika* k. 20 *Lekarstwa*). *Psota* (ob. *Knapkiego*) zatrzymała mnie w łóżku. Kazałem przystawić sobie pjawki: źle; krwi wytoczyć: gorzej. Używam dyety: i to źle; piję wino: jeszcze gorzej. Co tu począć? jak pisać! Rospacz ogarnęła zmysły. I byłbym w malignie wszystkim piórom nosy porozściskał, jeśliby na ich szczęście sen mi nie podchwycił i Rygi nie ukazał. Ha! wola wasza, a Ryga nasza! (*przysłowie*): jest to czego potrzebuję. A więc, kiedy brat mój poszedł na *sterkoryzacyą*, czy tam herboryzacyą, do Spasa, jakby do Zakretu pod Wilnem, do Strunia nad Dźwiną, lub do Trynopola nad Wilią; kiedy moje krew-

nianki udały się do Bazylianek, na górę zamkową, i kiedy Bernas sfatygowany trójniakiem wypoczywał, ja tymczasem wśród poduszek siadam, i popluwając sobie, żwawo piórem pędzę. — Czy pan dobrodziej był kiedy w Rydze? Przypuśmy, że w niej nie byłeś, że nie o niej nie wiesz. Otoż, łaskawco, Ryga... *czyryk!* włos się zaciągnął, muszę go zdjąć z pióra. Nie wiem czemu też fabrykanci nasi nie pilnują aby na papierze nie było owych włosików, które jak *bielnem* jakim zaciągają oczka liter. — Ryga, jestto miasto portowe... *Klaps!* ... żyda zrobiłem. Tyle było pisarzy na świecie, i tyle się ich teraz znajduje, a żadnemu nie przyszło do głowy, by z pióra zrobić taką machinę, iżby za pomocą śrubek, kłapek i haczyków, popuszczało na koniec noska tyle tylko atramentu, ile istotnie potrzeba. Żydy te dały mi się we znaki; za nie rześiste brałem plagi. Ktoby więc zrobił tę przysługę ludzkości zyskałby wieczne błogosławieństwo wszystkich pisaków, pisarzy i pisarzewiczów. Chwała jego wynalazku osiadłaby na ustach ich wszystkich. — Ryga leży, czy siedzi, nad samym prawie brzegiem morza. Gród wielki i początkami swemi odległych wieków sięga. Możeby się znalazła analogija między wyrzutami doświadczeniami zwykle od puszczejących się na morze nowicyuszów, a jego nazwiskiem: jeśli damy wiarę *Wywodowi* Dębołęckiego. Może tedy, wśród zdziwionych Ryżanów, przeciągał *Palmon* ze włoch z *ryżem* do Litwy. Cokolwiek bądź, rzecz pewna, że miasto nie dzisiejsze. Ludność, prawie kupiecka, teutońskiego rodu. Wszyscy, chwała Bogu, są zdrowi, i dobrze wyglądają. Nie piją wody morskiej, choć jej podostatkiem; bo doświadczenie nauczyło, że dyarya jest niezdrowa. Ale używają prawdziwego portera angielskiego, przedniego araku i wybornego wagsztafu. Płeć piękna, jak wszędzie, tak i tu jest piękną. Charakterystyczną wszakże cechą ryskich niemiek jest sprzeczność koloru brwi s kolorem zębów, s których pierwsze zazwyczaj ty-

le są białe ile ostatnie czarnością swoją zbliżają się do hebanu. Najlepszym dowodem potęgi ich wdzięków był tu jeden szlachcic z Litwy, który, przybywszy do Rygi w interesach handlowych, niemiłosiernie zakochał się w jednej białobrewej a czarnozębej pannie.

Przedewszystkiem godziłoby się zapytać co to jest miłość? — Zwolennik nowej francuzkiej szkoły mógłby ją nazwać chęcią oszukiwania samego siebie, razem z inną osobą plei przeciwnej, względem jakichś pieniężno-cielesnych ku niej skłonności, obleczonej w poszewkę (*alias* nawleczkę) jakiegoś niebieskiego, niewytłumaczonego uczucia, którego nikt dłużej nad termin statutowego przedawnienia na rzeczy ruchome nie doświadczał. Niemiecki prawoznawca podzieliłby ją natychmiast na tysiączne rodzaje, gatunki, podgatunki i odmiany. Dowiodłby najdoskonalej że takowa miłość, czyli chęć oszukiwania się względem własnych i cudzych uczuć, może być jednostronną lub wzajemną, czynną lub bierną, zsiadłą lub lotną, razową lub pyłowaną i t. d. i t. d. i t. d. Ale mnie się zdaje, iż miłość naszego szlachcica z niemką nie należała do żadnego ze wszystkich tych gatunków, i że możnaby utworzyć dla niej osobny rodzaj miłości karambolicznej: kiedy bowiem nasz jegomość, po uszy się był w niemce zakochał, panna ze swojej strony po szyję zakochaną była w jakimś angliku, s Portsmouth: wiadomo bowiem iż funty sterlingi zawsze u niemieckich narodów w większej były cenie od litewskich grzywien i groszy.

Rzecz się tak działa. Szlachcic nasz, zabrnawszy po uszy w niezgruntowaną przepaść namiętnej pożądlivosti, przedsięwziął lawirować po rozbujałych nawałnościach wzburzonego morza doczesnego życia. Łódka unosząca dni jego bezwonne, utrzymywana dotąd kotwicą spokojności, chwiać się zaczęła i na wszystkie szturmy wiechrów została narażoną. Napróżno łeb zadarłszy wgórę szybuje wzrokiem między gwiazdami, by złowić niedźwiedzie wielką (*ursa major*) za ogon: czereda, mospanie, Akwilonów jak zacznie mu w palce dmuchać z całej gęby, tak chcąc nie chcąc opuścić musiał ręce, i usiadł na pomoście. Usiadł, i zamyślił się. Tak mu coś było nudno, tak się ciężko na sercu zrobiło, iż był zniewolony zażyć tabaczki, *tomką* (rośliną) zaprawionej. Pociąga raz, pociąga dwa

i trzy razy, aż mu *radło* zaskrudliło w nosie. O bożku Kiparyjski! wrześnie wreszcie, przez morską swoją trąbę: Ty, któryś samemu władcy greckiego i rzymskiego świata rozgrzewał w garści promienne niepomiernych żądź pioruny; któryś Marsowi miasto prochu podsunął ciemierzycy! któryś przez studenta klasy 51ej organisciencie na jurysdyce poddał zakupionego od Węgra *lubczykul* któryś kosteczkami nietopérza, (tu, *Kazana*) przez mrówki z muskułów i ścięgnów oswobodzonemi, nie jednemu siadł kością w gardle! Cożem ci przewinił, ja biedny zlepek litewskiej szlachty? Coż ci z tego przybędzie, że mnie, przywiązawszy do słupa lilią i różą ozdobionego, smagasz nielitośnie pokrzywą? Ach Ganimeno! Ganimeno! uryjańska perło! Dla-czegoż ty nie umiesz popolsku? albo ja poniemiecku? Byłbym ci coś powiedział. Byłbym się wynurzył, jak na spowiedzi, z całą gorącością affektów moich ku twoim wdziękom, Rzekłbym wkońcu, że bez ciebie żyć nie mogę: że albo ty będziesz moja (a, rozumie się, ja twoim), albo ja się, w Dźwinie utopię! W Dźwinie, bo ostatnie wiatry nazbyt w samem morzu wodę ochłodziły!! — Jakoż, rozwinawszy żagle chuciom swoim, według kierunku powiewów oskrzydłonej nadziei, zaczął się przechadzać nad bursztynowym brzegiem Bałtyku. Zaczął coś szeptać do swego ducha: kiedy mieszkaniiec Albijonu doń się zbliżył. Anglik, manufakturzysta, porozumiał o co idzie. Powinien był wiedzieć, i wiedział, że jestto szalona pałka. Zatem, z zamarła krwią, pierwszy, bez ceremonii, zagadał doń połacinnie. Na sam odgłos takiego brzęku szlachcicowi wydał się jezuita, niegdyś jego professor w Orszy. Też same kroki, też sama długość poły, takież sam obwisły kapelus i jednostajna zimność powagi. Posunął się więc raptem naprzód, i, zdjawszy czapeczkę z kaszankiem, chciał go w rękę pocałować. Ale wyspiarz obrócił się, i, rozerzniętym stylu surdudem, przekonał, iż nie jest tém, za co go uważał. Tu dopięro odetchnął nieco nasz bohater i, śmielszy, odparł mu łaciną na łacinę. Co oni tam z sobą mówili więcej? ledwo przez piąte dziesiąte pamiętam. Widziano tylko jak się Anglik ciągle uśmiechał, mając mu kurtę wykroić, a szlachcic jak się aż zachłystał od mokrego płaczu: Bo miłość robi dzieckiem człowieka.

Angielski gentleman jał nieszczęśliwego podmawiać, aby, dla dystrakcyi, porzucił Rygę i puścił się z nim do Londynu. Jegomość nasz, nie w ciemną bitę, nie chce. Gentleman per-swaduje. Szlachcie nie słucha. Ale, że Anglicy są dziwnie uparci i twardego postanowienia, przeto ów gentleman po sekretnych forsach, zmównie z kupcami, taką mu przyprowadził fajerkę, iż rad nie rad skłonił się do projektu, i, zagrożony strachem, który ma wielkie oczy, sam się dobrowolnie wyspiarzowi nastreczył. Wy płynęli zatem w parowym statku na śkliste Bałtyku przezrocze, gdzie przed posepnem okiem nieboraka szybko przemykały się śledzie, fląderki i łososie, i gdzie mu, gdy chciał dłonie sprezentować niebu, wypadła z rąk dukatami ładowna sakiewka. Tu dopiero wzmógł się na żalu, i wrzasnął tak nieludzkim głosem, że aż ryby uderzyły w płetwy i ogony. Byłby się i sam za nią cisnął w głębią otchłani, gdyby go ta jedna myśl że może, nie zgruntowawszy dna, utonąć, do przytomności nie wróciła. Nie wrócił jednak do niej zupełnie, bo mu jeszcze klin sterczał w głowie, iż się ujrzał całkowicie, jakby Negr jaki, od Anglika zależnym. Znał bowiem przypowiestkę szkolną, iż człowiek bez pieniędzy jestto chora-giewka na dachu.

Owoż po przybyciu do Brytańskich brzegów, zbiedniony szlachcie, utraciwszy cały rezon w kalętce, jak nie swój, dotrzymywał kompanii gentlemanowi, który za każdym nań spojrzaniem uśmiechał się, i za którego przykładem naśmiewali się i inni. Przechodzi jeden miesiąc, przebiega drugi, upływa trzeci, kiedy brytańczyk zapada wreszcie na wilczą chorobę, i nagle niby umiera, kiedy w w rzeczy samej dmuchnął nocą do Rygi. Nazajutrz odbywa się prywatny pogrzeb jakiegoś tam nieboszczyka, któremu nasz szlachciec prostoduszny towarzyszy; bo mu wszyscy nastrojeni już byli wmówili, że to jest niezawodnie pan Anglik dobrodziej, który na wsparcie jego nędzy odkazał mu nawet, w zmyślnym testamencie, niewielką kwotę pieniężną. Gentleman za przybyciem swoim na ląd stały żeni się z niemką, i wraca do ojczystego kraju, a jegomość nasz, ulowiwszy nieco grosiwa, dźga z zamrużonemi oczami, przy pomyślnym wietrze, do portu swoich nadziei. I przypłynął, i wysiadł, i szukał, ale nie udało mu się znaleźć swej Ganimeny!!

Ale bawiać cię tak, mości Wydawco, historyjkami niemieckich miłostek, dalibógże nie wiem co pisać o samej Rydze, chociaż koniecznie chcę mi się tego. Jest to kres mojej podróży; punkt na którym mam zakończyć mają gawędę, pożegnać się s tobą, i który s tego chociażby powodu skreślić (nie przekreślić) należało. Owoż napiszę przynajmniej, iż most na Dźwinie, s przedmieścia do samego miasta wiodący, niepospolitą długością swoją przypomina godziny lekcyj niektórych professorów i mimowolnie myśl unosi ku zielonym Polesia trzęsawicom. Na samo miasto aż strach patrzeć: takie mury, bastiony, okopy! Wielka szkoda że nie wiem nazwiska jego bram i wiele ich jest wszystkich, inaczej wyliczyłbym ci każdą jedną po drugiej i opisał z góry do dołu, zwłaszcza że u dołu bramy leżącej naprzeciw samego mostu siedzi takie mnóstwo przekupek, a przed nimi leży takie mnóstwo jabłek, gruszek, marchwi i pierogów, że aż miło! Ale coż robić. Komużby to się chciało chodzić około murów i liczyć na palcach bramy, kiedy daleko wygodniej gawronić na ulicach, zaglądać w okna sklepów kupieckich, zajrzeć na bilard, do jednej i drugiej kawiarni, i t.d. Niech sobie kto co chce mówi, a ja pomimo to nie minę żadnego okna w którebym nie miał zajrzeć: i, w rzeczy samej, na cożby innego okna robić miano, jeśli nie dla pokazywania się i widzenia?

Ulice Ryskie brukowane są takimiż, podobnemi do wielkich kartofel, kamieniami jak i Wilno; takież same na nich błoto w czasie dżdżu i kurzawa podczas upału, s tą tylko różnicą: iż dwa razy są węższe i dwa razy wyższemi niż w Wilnie domami ogrodzone, co nadaje im nie bardzo wesołą postać klasztornych kurytarzy i skąd też błoto daleko się tam dłużej konserwuje. — NB. Marynata, śledzie hollenderskie, portwein i w ogólności wina wyborne i daleko tańsze niżeli u Aura i na całej Wielkiej, Niemieckiej, Żydowskiej i Sklanej ulicy, Dla tego już samego warto, mości wydawco, żebyś tu s Petersburga przyjechał, choćbyś nawet nie chciał się popatrzeć na nieprzeliczoną liczbę okrętów, tworzących masztami swojemi przepyszne szpalery wzdłuż mostu o którym wspominałem. Wszakże nie łatwiejszego jak wsiąść do dyliżansu i we trzy czy cztery dni stanąć w Rydze. Cena miejsc niepamiętam już jaka,

a najadłszy się śledzi, marynaty, popiwszy ostrygi maderą, i zapłaciwszy drugie tyle, nazad sobie powrócisz i całą tę podróż odbędziesz w czasie pomiędzy wyjściem jednego a drugiego numeru Bałamuta.

Główny punkt miasta stanowi podobno giełda. Jest to ogromna i piękna sala, codziennie, ile się mi zdaje, od 10ej do 3ej otwarta, w której się odbywają wszystkie obroty obzernego ryskiego handlu. Ściany jej obite są mnóstwem ogłoszeń o przychodzących i odchodzących okrętach, towarach i t. p. Ma zegar, barometr, termometr, hygrometr: ale napróżno szukałem w niej chorągiewki wskazującej kierunek wiatru, która, jak powiadają, znaczny wpływ wywiera na spekulacye kupieckie na giełdzie londyńskiej.

Byłem i w teatrze. Jest dobrze urządzone i piękny. Cena miejsce tania i nikt nawet nie wierzy tym co powiadają że na teatrach Petersburskich łoża pierwszego rzędu placą się po 25 r. ass., a krzesła po 7. Kobiety siadają tu zarówno w łożach jak i na parterze: ale każda zdejmuje kapelusz, ażeby siedzącym stylu nie zasłaniać i, w ciągu całej reprezentacyi, tym bardziej zaś między aktami, zamiast powszechnie przyjętego głośnego rozmawiania, oglądania się i przepatrywania obecnych zapomocą ręcznego teleskopu, bawi się robieniem pończoszki. Stąd to podobno na ulicy nie widać bosych pacholąt, z jakimi się czasem w Wilnie spotkać można. — Aktorowie wyborni i aktorki śliczne: szkoda tylko że grają po niemiecku.....!

Do zobaczenia. — LAZARZ ZAPRZANIEC.

## Stare i nowe facecye.

P. Ameilhou, pałający niegdyś chęcią mówienia z Napoleonem, znalazł się razu jednego w liczbie deputowanych, wyznaczonych na złożenie Cesarzowi Francuzów jakiegoś powinszowania. Nie zaniedbując tak pogodnej okoliczności, P. Ameilhou starał się ciągle przed innymi wysuwać i ile możności pod oczy nastawiać. Napoleon postrzegłszy znajomą nieco twarz, natychmiast się doń zbliżył i zapytał: — W Pan jesteś P. Ancillon? . . .

— Tak jest, N. Panie, . . . . . Ameilhou.

— Przełożonym biblioteki S. Genowefy?

— Tak jest, N. Panie. . . . . biblioteki Arsenatu.

— I wydajesz dalszy ciąg historii Cesarzów Greckich?

— Tak jest, N. Panie. . . . . historii Tureckiej.

Napoleon, zniecierpliwiony i zawstydzony tyłą błędami, obrócił się nakoniec do całej deputacyi tyłem. — P. Ameilhou, ze swojej strony, zwróciwszy się ku kollegom, nie mógł się odchwalić uprzejmości i mądrości Cesarza: „Oto jest, wołał, człowiek co wszystko wie i wszystko pamięta!“

— Filozofia prawa karnego przyjmuje podobno za zasadę iż każdy samobójca, przed zadaniem sobie śmierci, musiał oszaleć. Lecz nigdzie tyle szczególnych przykładów przeciw zasadzie tej nie powstaje ile w Anglii, gdzie akt odjęcia sobie życia odbywa się niekiedy z nadzwyczajną rozważą i zadziwiającą przytomnością umysłu, i gdzie porter i mocne piwo zdają się najskuteczniej wrodzoną ludziom obawę śmierci usypiać i niweczyć. Gazety angielskie powtarzają właśnie następujący w tym guście wypadek.

Człowiek jakiś, brukowy londyński obywatel, obrzydliwszy sobie życie, za najprzystoitszy sposób pozbycia się tego ciężaru uznał naprzód wodę. Jakoż, poszedł za miasto, nad brzeg Tamizy, z najzimniejszą krwią rozebrał się, zrobił z odzieży piękne zawiniątko, i skoczył z mostu.

Szczęściem czy nieszczęściem, znajdujący się nad brzegiem ludzie wyciągnęli go w mgnieniu oka, tak, iż nie miał nawet czasu do syta się rzecznej wody napić. Ale anglik, zamiast wdzięczności, począł zbawców swoich, pierwszym kijem który mu wpadł w rękę, okładać, i, śród groźb i łajania, iż się nie w swoją rzecz wdają, odbiegł na kilkaset kroków i powtórnie do wody skoczył.

Nie tracono go wszakże z oczu i znowu na brzeg wyciągniono. Lecz bohater, orzeźwivszy się nieco, tęż samą scenę z niemi powtórzył; znowu szkalując świat cały na kilkaset kroków odbiegł: ale, nie rzucając się więcej do wody, zdjął z szyi halstuch, przymocował go jednym końcem do wysokiego drzewa, drugim do szyi, i obiesił się.

Tą razą dawni wybawcy zapomnieli go orderznać. I, gdy komissarz policyjny wyrzucił im potem dla czego tak blisko stojąc nie starali się go uratować, odpowiedzieli mu, iż stało się to przez omyłkę, gdy, widząc że podczas dwókratnej swojej kąpieli mocno przemókł, sądzeni, iż, dla oschnienia, umyślnie się na słońcu powiesił.